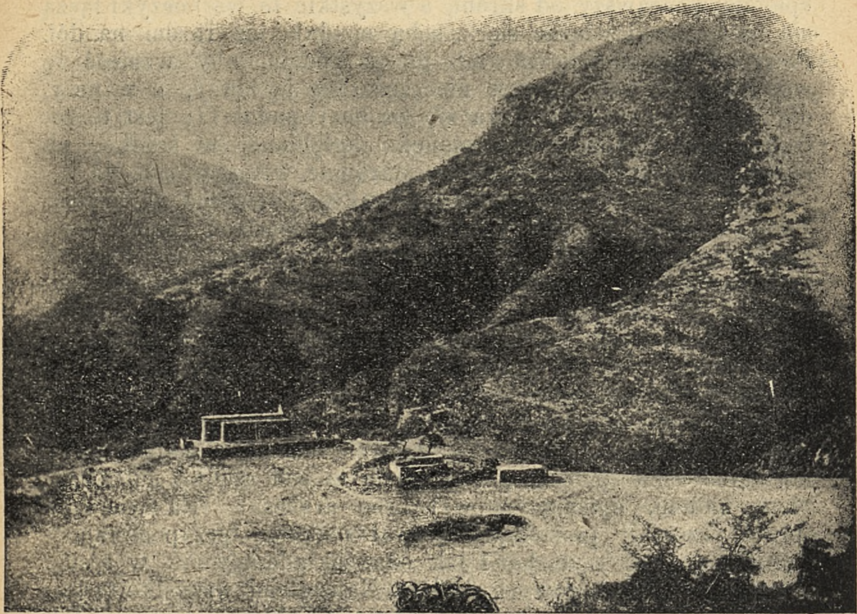


Alitiena w Abissynii — w głębi nowy kościół misyi katolickiej.

ABISSYNIA I ABISSYŃCZYCY.

CZARNE KWIATY.

Różne szczegóły o Abissynii i jej mieszkańcach.

Przez O. Józefa Baetmann'a, misyonarza Lazarystę.

(Ciąg dalszy).

III.

Kobiety.

Na pierwszy widok uderza u kobiety jej fryzura i zapach, jaki się od niej rozchodzi. Piękność kobieca polega na tem, aby na włosach była gruba powłoka masła o smaku ostrym i odrażającym. Powłoka ta topnieje prędko na słońcu, a dziecko usadowione na plecach matki, odrazu robi z tego użytek!... Cała fryzura podzielona jest artystycznie na setki

splotów, począwszy od skroni, a wszystkie te warkoczyki łączą się na karku i wiążąc się z sobą spadają już razem na dół. Potrzeba nieraz czterech lub pięciu godzin, aby wznieść tę wspaniałą budowę, to też nie często się ją burzy, a w nocy, dla uniknienia ruiny używa się osobnej poduszki; jest to rodzaj małej podpórki drewnianej, zagłębionej w środku, na której kładą szyję, opuszczając starannie włosy w tył.

Widziałem te poduszki, one także porządnie są wymaślone, a jedna z nich wysadzana była perłami, muszelkami i całą masą maleńkich kawałeczków rzemienia, na których zawieszone były gwoździe, ułamki drzewa, dno i wieko pudełka od sardynek, oraz inne klejnociki w tymże guście, równie tanie, jak niezbyt eleganckie. Ale nie trzymają tu „Tygodnika mód“, a nasze Abissynki długo jeszcze zachowywać będą dawne zwyczaje krajowe — i dobrze zrobią! Strój ich składa się z koszuli bardzo długiej, przestronnej, z rękawami zwężonemi dokoła ręki, zależnie od stanu majątkowego lub stanowiska społecznego. Koszula ta jest gładka, lub ozdobiona haftem, opisującym wytworne arabeski. Na wierzchu spływa szeroki, prostokątny kawał materyi, przypominający starożytną togę rzymską i jak ona, układający się w tysiąc wdzięcznych lub surowych fałdów. Najczęściej wszystko to jest brudne, zatłuszczone, prawie czarne. Kobiety, zarówno jak mężczyźni i dzieci, chodzą zawsze boso.

IV.

Mężczyźni.

Rysy mają oni semickie, barwę skóry ciemno-brunatną, oko bystre, jak zwykle bywa wzrok dzikich. Szczupły, wysoki, wysmukły, przebiegły — to rysy Abissyńczyka. Mężczyźni noszą także wielką togę spływającą na ubranie, które sięga kolan, pas połyskuje nabojami. Fuzya w ręku, szeroka, zakrzywiona szabla zwisa im u lewego boku, nóż zatknięty u prawego. Dodajcie przytem wygląd szlachetny, twarz wyrazistą i cały las gęstych, wełnistych włosów, wymaślonych czasem, wpośród których tkwi dwuramienny grzebień.

Znajdujemy w Abissynii wszystkie odcienie barwy skóry, poczynając od żółto-złotej, aż do czerni hebanu: odcień panujący jest brunatny. Rysy twarzy dość urozmaicone, zbliżają się do typu europejskiego i posiadają czasem jego piękność. Nos wydłużony, nozdrze niezbyt szerokie, wargi nieco grube wprawdzie, nie są jednak tak mięsiste, jak to widzimy u prawdziwego typu murzyńskiego: zęby są zawsze nieskażonej białości; wzrok bystry, przenikliwy, ostry, nieco dziki; broda czarna, ale rzadka, członki suche, muskularne: doprawdy, oni są prawie piękni, ci moi parafianie! Można ich bardzo trafnie po-

równać do Indyan, biegaczy lasów, których przygody unieśmiertelnił Cooper. Zmysły ich, zaostrzone nieustannem ćwiczeniem, posiadają delikatność i siłę zdumiewającą. Zazwyczaj niezbyt czuli, niespokojni, kłótliwi, kochają się namiętnie w wojnie, w której straszni są, jak lwy rozwścieklone.

Oto dosyć, sądzę, aby dać wam przybliżone pojęcie o Abissyńczykach — zajmiemy się teraz bliższem i bardziej ciekawem studyum ich życia rodzinnego.

V.

Mieszkania.

Pospolicie, prawie w całej Abissynii, są to nory zadymione, ciemne, ogołocone, brudne, smrodliwe, w których tłoczy się cała rodzina, leżąc pokotem na wilgotnej ziemi, lub na rozciągniętej skórze krowiej, często stoczonej przez robactwo. Są to raczej piwnice aniżeli domy: oparte zwykle o niewielkie wzgórze, bywają czasem wydrążone w skalistym gruncie, a czasem też wzniesione z kamieni, ułożonych poprostu jedne na drugich, całość zaś pokryta płaskim dachem, uplecionym z gałęzi i przysypanym warstwą dwudziestu pięciu centymetrów ziemi. Dach ten bywa zwykle ulubionem miejscem pobytu pewnych lokatorów, niezbyt ciekawych i arcynieznośnych. — *Gudżi* zaopatrzone jest w jeden tylko otwór, służący zarazem za drzwi, okno i komin; otwór ma zaledwie 50 centymetrów szerokości i 75 wysokości. To też mieszkania te są wilgotne, a zwłaszcza całkiem ciemne, a gdy się jest zmuszonym przebywać tam w czasie, gdy rodzina je obiad lub wieczerzę, dym wychodzi sobie złośliwie przez oczy mieszkańców. Umeblowanie jest bardzo proste: wzdłuż ścian usypano szerokie ławki z ziemi, które, przykryte skórą krowią, zastępują łóżko. U ludzi zamożniejszych widuje się jednak łóżka nieco wygodniejsze: są to ramy z drzewa, ustawione na czterech pniach i opatrzone siatką z rzemieni skórzanych lub postronków, *rendez-vouz* całych miryadów pluskiew, ludu bardzo niespokojnego, jak to każdemu wiadomo. Poza tym sprzętem, świadczącym o pewnym dostatku, dodać należy nieco pierwotnych wyrobów garncarskich, koszów mniej lub więcej delikatnej roboty, młynek ręczny, zasługujący na wzmiankę szczególną — i wreszcie olbrzymie dzbany gliniane, lub z nawozu krowiego, naśladujące nieco kształt ula, powyżej wzrostu człowieka, w których przechowuje się zboże. Tarcza, oszczep, wielka szabla, zwykle zakrzywiona i kij podróżny dopełniają umeblowania. W pośrodku domu znajduje się przestrzeń okrągła, służąca za ognisko, na którem ogień nie wygasa nigdy.

Co do młyna, jest on istotnie prostoty pierwotnej: do jednego z rogów, lub wzdłuż ściany, przyparta jest mała wie-

życzka kamienna, wysokości 70 cm., ścięta skośnie u szczytu. Wewnątrz niej osadzony jest głaz granitowy, podłużny, lekko wklęsły, otoczony rynienką: o ten to głaz, z pomocą dużego kawałka granitu jajkowatego kształtu, miażdży się siłą ramion *taf* albo *durra,* które chce się zemleć na mąkę; ciężka ta praca poruczoną jest kobietom, które wywiązują się z niej zazwyczaj nocą. I dla też przyczyny chleb zawiera często prawie tyleż kamieni, co mąki, tak, że zgrzyta między zębami w sposób bardzo niepokojący dla delikatnych podniebień.

(C. d n.).

KORESPONDENCYA MISYJNA.

POSTĘPY W MISYI OO. JEZUITÓW W CHIPANDZE
(Dolna Zambeza).

O. Loubière pisze nam:

„W ogarniających nas uciskach i przeciwnościach niejedna przecież pozostaje nam rzetelna pociecha, bo jeżeli prześladowanie wiele przyczyniło nam szkody pod względem materyalnym, to jednak nie można tego odnieść do strony duchowej. Na ogół, w okresie próby, wszyscy chrześcijanie zachowali się daleko lepiej i dzielniej, aniżeli się tego spodziewać mogłem, znając ich charaktery tak bojaźliwe i chwiejne.

Katechizacye i nabożeństwa uczęszczane bywają tak licznie, jak nigdy dotąd. To też wiele możnaby tutaj zdziałać dobrego, gdyby nam pozwalały na to środki.

Najobfitsze plony przynosi nam praca nad dziećmi, zanim jeszcze nie przesiąkną praktykami fetyszyzmu i złymi nałogami. Lecz pomiędzy starszymi, niepodobna prawie zaszczepić pojęć chrześcijańskich: pijaństwo, wszeteczeństwo i zabobon, pogrążają tych biednych ludzi w najstraszniejszej niewoli szatana. Widocznymi tutaj są skutki nienawiści szatańskiej względem ludzi i rozkosz, jaką temu złemu duchowi sprawia poniżanie i dręczenie istot ludzkich. Przykład tego miałem niedawno w pewnej rodzinie pogańskiej, mieszkającej w pobliżu misyi. Otóż matkę rodziny tej porwał krokodyl w chwili, gdy czerpała wodę u brzegu rzeki. Pospieszyłem na miejsce wypadku ze strzelbą, aby zastrzelić potwora. Lecz biedni owi ludzie, zamiast dziękować, błagali mnie, bym nie wyrządzał nic złego potworowi, mówiąc, iż ten krokodyl należy do pewnego czarownika, który nie omieszkałby mścić się za tę zniewagę. Zresztą — dodawali — zwierzę to jest niepokonalne, albowiem posiada ducha, który je osłania przed śmiercią, najlepiej tedy pozwalać zabierać mu ofiary, na jakie ma ochotę.



ABISSYNKI.

Ofiar tych, o których losie z góry wie czarownik, nic ocalić nie zdoła, lecz wszystkim innym za to nic już nie grozi.

Na szczęście chrześcijanie wyśmiewają te niedorzeczności i z przyjemnością zauważyłem, iż niejednokrotnie silili się, by dowieść poganom szalbierstwa czarowników i złego ducha. Skoro tylko pojawia się krokodyl, natychmiast przyzywają mnie, bym go zabił, a tem samem przekonał pogan, iż wszystkie ich przesądy oparte są na kłamstwie.

Lecz czy przytoczyć wam tutaj ostateczny argument tych biedaków? Biali — powiadają oni — posiadają fetyszow jeszcze potężniejszych od naszych — i na tem koniec!

Zabobon ich co do nietykalności krokodyla, rozciąga się do wszystkich drapieżców, które tak znaczne wioskom ich wyrządzają szkody. Zeszłego roku pojawiły się lwy w znacznej liczbie, które wyniszczyły doszczętnie prawie zwierzęta domowe i folwarczne, kozy, wieprze i t. p. i daleko większe jeszcze straty powodowały w ludziach, a jest to faktem dowiedzionym, iż zakosztowawszy raz ludzkiego mięsa, lwom nie smakuje już inne; osiedlają się wtedy w pobliżu wsi, czatując codziennie na nowe ofiary.

Przerażenie ogarnęło murzynów, lecz nikt nie pomyślał o zorganizowaniu obławy. Szczęściem, dwa wspaniałe okazy wpadły w sidła zastawione przez misyę. Na rozgłośne ryki tych więźniów zbiegli się mieszkańcy poblizkich wiosek, lecz nie cieszyli się bynajmniej widokiem tej podwójnej zdobyczy, przeciwnie, próbowali odwieść nas od zamiaru zabicia tych zwierząt.

Inny, okropniejszy jeszcze zabobon, polega na składaniu ofiar z ludzi, a zwłaszcza z dzieci, których krwią skrapiane bywają plantacye, skutkiem czego wydawać mają obfitsze zbiory. Czarownicy, istni satelici szatana, najstraszniejszą są plagą tych wydziedziczonych zda się obszarów. Uciskają oni murzynów jarzmem najbezwzględniejszej, jaką sobie można wyobrazić, niewoli. Wystarcza, aby jeden z tych niegodziwców wskazał kogokolwiek, jako sprawcę chorób lub nieszczęść obecnych, albo przyszłych, by nieszczęśliwą istotę skazać na śmierć natychmiastową. Niechaj tylko ktoś zachoruje poważniej, lub pole zostanie spustoszone, wzywa się natychmiast czarownika, który za dobrem wynagrodzeniem wskazuje sprawcę tych nieszczęść. Poi się wtedy winowajcę trucizną zwaną „muavi“, lub znika on w tajnikach lasu. Wyrok taki dosięga zazwyczaj biedne bezbronne staruszki.

Jeżeli rządy nie zastosują energicznych zarządzeń, długo jeszcze dzikie to prawodawstwo grasować będzie w naszych plemionach murzyńskich. O ile wiem, poczyniono już w tej mierze odpowiednie kroki na terytoryach angielskich.“

Idźmy z pomocą misyom!

„Z rzeczy Boskich najbardziej Boską jest współdziałanie w zbawieniu dusz.“ *(Św. Dyonizy Aeropagita).*

Ratować dusze, uratować choćby jedną duszę odkupioną Najdroższą Krwią Zbawiciela, jest największą zasługą, jaką katolik zdobyć może. W Afryce są tysiące i setki tysięcy dusz, które należy ratować. Wprawdzie jest tam setki misyonarzy i misyonarek, którzy pracują na rozmaitych obszarach misyjnych, ale brakuje im środków, chociaż misye protestanckie są bogato zaopatrzone.

Chwila obecna jest dla wielu terytoryów misyjnych *krytyczną, rozstrzygającą.* Pomóżmy tedy misyom, aby przez naszą obojętność i niedbalstwo Afryka nie zginęła dla katolicyzmu!

Kościelna organizacya misyj afrykańskich w r. 1909.

Organizacya i podział afrykańskich terenów misyjnych, ciągłym podlega zmianom i ulepszeniom. W roku ubiegłym Stolica św. zatwierdziła nie mniej jak trzy nowe wikaryaty i dwie prefektury apostolskie. Są one następujące:

Wikaryat apostolski kraju Basutów (dawniej prefektura).

Wikaryat apostolski Kenia (dawniej misya).

Wikaryat apostolski Delty Nilu (dawniej prefektura).

Prefektura apostolska kraju Wielkiego Namakwalandu (dotychczasowa niemiecka część wikaryatu apost. rzeki Orange).

Prefektura apostolska Ubanghi-Chari (dotychczasowa część wikaryatu apostolskiego Ubanghi).

Wraz z rozwojem organizacyi powinno iść w parze zwiększenie środków materyalnych. Niestety, tak nie jest, gdyż z zatwierdzeniem każdej nowej prefektury lub wikaryatu ubywa już istniejącym prefekturom i wikaryatom z rocznej subwencyi udzielanej im z zarządu wielkich Stowarzyszeń misyjnych.

Czy nie jest to pobudką dla Sodalicyi św. Piotra Klawera do podwajania i potrajania wysiłków, celem podołania tym nowym potrzebom misyjnym?

Czy też hojnym dla misyj będzie noworozpoczynający się rok? I od czego zależeć to będzie? Przedewszystkiem od błogosławieństwa Bożego, następnie zaś od dzielności pracowników w łonie Sodalicyi św. Piotra Klawera. To też, Drodzy Czytelnicy, powtarzajcie wraz z nami słowa modlitwy: „Przyślij nam Panie robotników do winnicy Swojej!“ Chrystus Pan nie

zaleca nam modlitwy o pomoc materyalną, bo nie o nią troszczymy się w pierwszym rzędzie. („Szukajcie najpierw Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a reszta przydana wam będzie.“) To też głównym przedmiotem modlitw naszych i zabiegów powinno być staranie o coraz większy zastęp pracowników Bożych. Oto bowiem obowiązek, jaki nałożył na nas Chrystus Pan w chwili pamiętnej, gdy widząc bogate żniwo dusz całego szeregu wieków przyszłych, bolał, iż nie będzie ono wszystko zgromadzone do spichrzów Ojca Niebieskiego z przyczyny nikczemności ludzkiej i braku miłości bliźniego.

Ufajmy, iż Ten, który nakłada nam obowiązek modlitwy o apostolstwo, wysłucha jej w swoim czasie, ukazując cele Sodalicyi św. Piotra Klawera niejednej duszy chwiejnej, bogatej w dobre chęci, ubogiej dotychczas w czyny, ociągającej się ze wstąpieniem do winnicy Pańskiej, podczas gdy tam, w odległej Afryce setki i tysiące dusz pozbawione są światła Ewangelii św. — a może z jej winy.

L.

Z DZIENNIKA

Generalnej Kierowniczki Sodalicyi św. Piotra Klawera.

Dnia 31 października 1909. Jesteśmy nareszcie znowu w Rzymie, po czterech i pół miesiącach niebytności! Myśl, iż się jest w Rzymie, w tem świętem mieście męczenników, w grodzie Ojca chrześcijaństwa, tyle w sobie zawiera pociechy i pobudek dla duszy, a radości dla serca, że trudno z początku wierzyć szczęściu swemu i przychodzi obawa, czy nie jest się przypadkiem igraszką złudzenia, które zniknie wraz z przebudzeniem! Lecz, Bogu dzięki, prawda to oczywista!

Dnia 4 listopada. — Rozpoczyna się szereg wizyt. Pierwszego przyjmuję Założyciela i Przełożonego generalnego OO. Najśw. Serca Jezusowego O. Dehon, bawiącego chwilowo w Rzymie.

Dnia 16 listopada. — O. Michał da Barbonara, czcigodny Prefekt Erytrei, przybył pożegnać nas, powraca bowiem do swej misyi. Miał on zamiar wygłosić w różnych częściach Włoch szereg odczytów, organizując zarazem składki, lecz niebezpieczeństwo blizkiej śmierci grożącej Menelikowi, nasuwa mu poważne obawy o misyę, to też zależy mu na tem, by stanąć co rychlej na stanowisku i być obecnym na wypadek potrzeby.

Dnia 22 listopada. — Uroczystość św. Cecylii, którą Rzymianie ze szczególną obchodzą uroczystością, wiedzie nas do J. Em. kardynała Respighi. Lecz Jego Eminencya, jako przewodniczący pontyfikalnej komisyi archeologicznej, odprawiał dzisiaj o godzinie wpół do 8 Mszę św. w katakumbach św. Kaliksta u grobu św. Cecylii. Czekałyśmy tedy na niego w salonie, przez który wracając do siebie, przeszedł przyodziany w purpurę kardynalską i przechodząc skinął na nas przyjaźnie. Po chwili wprowadzone zostałyśmy do niego.

Niebawem też zwraca się rozmowa na temat naszej działalności w zakresie misyj. Mając wnieść prośbę do Jego Eminencyi, uznaję poprzednio i uniewinniam się zarazem, iż Sodalicya nasza nic zgoła w istocie nie czyni dla dyecezyi Jego Eminencyi (obwód rzymski).

Na to oświadcza kardynał uprzejmie, iż stanowczo mylnem jest twierdzenie, jakoby praca na rzecz misyj zagranicznych, całkowicie była bezużyteczną dla kraju. Wcale tak nie jest, to też Jego Eminencya ubolewał, że dotychczas czynią Włochy tak mało dla misyj i że dzieło Propagandy Wiary w widocznym jest zastoju.

„A wiecie, czyja to wina? — proboszczów!“ Obawiają się oni zawsze, iż dzieła na rzecz misyj szkodzą sprawom parafialnym. Za czasów gdy byłem jeszcze prałatem w Bolonii, ogłosiłem publicznie encyklikę Leona XIII, traktującą o Propagandzie Wiary św. Powiedziałem kazanie na ten temat, przypominając wiernym ich obowiązki apostolskie i zaraz też napłynęły datki na rzecz misyj. Ale też natychmiast przybyli do mnie niektórzy współziomkowie z wyrzutami: „Co robisz? Czy nie masz aż nadto wydatków dla swego własnego kościoła?“ Na to pokazałem im księgę rachunkową, mówiąc: „Znaczne mam obecnie do pokrycia sumy, lecz oto patrzcie i moje dochody zwiększyły się, odkąd popierać zacząłem dzieło Propagandy Wiary. Nie dozwolił dobry Bóg, abym przez nie pokrzywdzony został. A teraz, opowiem wam jeszcze drobne zdarzenie — ciągnie dalej dobry kardynał — które opowiadałem już nieraz, a które spotkało mnie w tym samym prawie czasie. Po jednem z moich kazań o Propagandzie Wiary, zjawia się w mojem biurze biedna żona pewnego robotnika i mówi: „Powiedziałeś nam wczoraj księże prałacie z kazalnicy, iż na to, by zostać misyonarzem, nie trzeba iść między pogan, gdyż można nim być przez modlitwę i wspomaganie Ojców misyjnych, co mnie ogromnie uradowało! To też pragnę i ja zostać w ten sposób misyonarką. Proszę mi powierzyć listę składkową, będę zbierała jałmużny na rzecz Propagandy Wiary.“

I znosiła mi przez czas niejaki dobra kobieta skrupulatnie, uzbierane pieniądze. Lecz dnia pewnego przybywa wielce strapiona i mówi: „Księże prałacie, w wielkim jestem kłopocie i ciężkie mam zmartwienie. Zmniejszyły się obecnie dochody moje, wskutek czego nie mogę pozostać nadal w dwóch stowarzyszeniach, dla których pracuję, mianowicie w dziele Propagandy Wiary i Eucharystycznem. Proszę udzielić mi łaskawie rady, które z tych dwóch mam raczej poświęcić? Będąc członkiem stowarzyszenia Eucharystycznego, liczyć mogę na wiele Mszy św. po śmierci, a nieoceniona to korzyść. Lecz z drugiej strony taką dojmującą boleścią jest dla mnie myśl, iż o tylu mniej biednych pogan będzie zbawionymi, o ile ja przyczyniam się do tego mojem współpracownictwem. Powiedziałam tedy sobie: mam wszelką nadzieję uniknięcia piekła, lecz czyściec to mnie już chyba nie minie i nie na krótko! Skoro więc przyjdzie mi doświadczać ognia czyścowego będąc pozbawioną Mszy św., któreby mnie z niego rychlej wybawić mogły, odwołam się do Zbawiciela mojego, przedstawiając Mu, iż to przez miłość dla dusz zrzekłam się dobrodziejstwa Przenajświętszej Ofiary. I czy nie sądzisz Ojcze, że otrzymam Jego łaskę i przebaczenie?“

Upewniłem zacną kobietę, iż nic zarzucić nie można jej rozumowaniu i że Bóg dobry nie da się z pewnością ubiedz w szczodrobliwości nikomu. Pozostała tedy nadal wierną dziełu Propagandy Wiary, a ja podziwiałem w duchu jej żywą wiarę! I jak ta biedna kobieta prostem swem rozumowaniem zaćmiła bezwiednie wielu teologów!“

Poruszone do głębi tem opowiadaniem, żegnamy kardynała.

Ach! wzdychałyśmy po cichu, gdybyż wszędzie, w powołanych do tego środowiskach pojmowano sprawę misyj tak, jak ją pojmuje Wikaryusz papieski! Jakże zgoła inaczejby się działo.

Dnia 23 listopada. Jeden z misyonarzy ze Zgrom. Najśw. Serca Jezusowego, O. Bernabei, w przejeździe z Sudanu do Werony, złożył nam wizytę, jako też i dwom mieszkającym u nas „Pie Madri della Nigrizia". Przywiózł nam ukłony od O. Beduschi ze stacyi Tonga, którego zgoła niespodziewany obiór powołuje, ku jego wielkiemu zmartwieniu, na stanowisko drugiego asystenta i przełożonego nowicyuszów.

Dnia 28 listopada. Protektor nasz, Jego Em. kardynał Casseta, obchodzi w tych dniach 25-letni jubileusz biskupi. Główna uroczystość odbyła się dzisiaj w kościele św. Chryzogona *in Trastevere*, gdzie Kardynał celebrował dziś rano Mszę św. Jego Eminencya przyjął i nas przed południem, mogłyśmy mu więc złożyć życzenia z okazyi jego święta.

Dnia 5 grudnia. Audyencya u Jego Em. kardynała Gotti. Konstatujemy z radością, iż zniknął wszelki ślad cierpienia płucnego, na jakie uskarżał się Jego Eminencya od kilku lat i że zdrowia jego nie nadwyrężyła ciężka praca ubiegłego roku. Jak zawsze Kardynał pełen jest dobroci i uprzejmości i okazuje żywe zajęcie się naszem dziełem i przyrostem członków Sodalicyi.

Kronika Sodalicyi Św. Piotra Klawera.

Filia we Wrocławiu. *W dniach 27* i *28 października* odbyła się doroczna loterya fantowa na cele dobroczynne. Przewodnicząca komitetu loteryjnego p. Körner wyznaczyła i naszej Sodalicyi miejsce do urządzenia pawilonu misyjnego. — Wszystkie książeczki i broszury, czasopisma i wydawnictwa ulotne, które wyszły naszym nakładem, figurowały w tym przyozdobionym pawilonie obok win misyjnych i czekolady. Pani Meer, wspomagana przez kilku miejscowych członków Sodalicyi, była dzielną opiekunką tego misyjnego stolika, przy którym miała sposobność zaznajamiać z misyami i udzielać zwiedzającym swojego dla nich zapału. Prawdziwą radością był dla nas duży zbyt kalendarzy i czekolady, a pomyślne rezultaty były nagrodą za pracę i trudy tych dwóch dni.

Dnia 28 listopada wieczorem o godzinie ósmej odbyło się w klasztorze św. Jadwigi miesięczne zebranie zelatorek, liczne, pomimo niesprzyjającej pogody. W. O. Fennig przemawiał na temat: „Niewiasta w pracy, cierpieniu i miłości, jako apostołka."

Filia w Wiedniu. *Dnia 5 grudnia* odbył się w sali Klubu urzędników kolejowych odczyt i przedstawienie obrazów świetlnych. Kwartet mandolinistów pod kierownictwem p. Gabryela Kaizera rozpoczął przedstawienie swą artystyczną grą, a następnie przemawiał X. Ryszard Joch, objaśniając seryę obrazów z Abissynii i podnosząc obfitą w skutki działalność Sodalicyi św. Piotra Klawera. Sala była pełna.

Dnia 8 grudnia pierwsze przedstawienie utworu scenicznego „Boże Narodzenie" Alojzego Stanisława. Przemawiał przedtem X. La Ponte. Licznie zgromadzona publiczność okazywała najżywsze zadowolenie z przebiegu przedstawienia. Na zakończenie odbył się bazar gwiazdkowy.

Dnia 12 grudnia odbyło się w Baden, w sali Stowarzyszenia robotników, dwukrotne przedstawienie sztuki: „Murzynka Cherbuna". Zarówno na popołudniowem, jak i na wieczornem przedstawieniu przemawiali XX. Jahn i Ritter do szczelnie zapełnionej sali. Artyści grali jak zwykle z całym zapałem, otrzymując w nagrodę gorące oklaski.

ODCINEK.

WIGILIA BOŻEGO NARODZENIA.

DRAMAT W TRZECH AKTACH PRZEZ M. T. LEDÓCHOWSKĄ.

(Wszelkie prawa zastrzeżone).

(Ciąg dalszy).

Henryk *(opamiętawszy się, głosem drżącym)*. Nie, tego też czynić nie powinnaś, Różo, wybacz! Pokonał mnie chwilowo ból i rozczarowanie. Ja nie będę cię dręczył! Nie ustąpiłbym cię nikomu innemu, lecz skoro woła cię Chrystus — milcząc ustępuję.

Róża. Dzięki ci, Henryku! Oto odzyskałam w tobie na nowo przyjaciela młodości, brata ukochanego! To też z całem zaufaniem mogę się znowu zbliżyć do ciebie i — szukać u ciebie pomocy.

Henryk *(wstrząśnięty)*. I to jeszcze! — Mów jednak, Różo. W czem dopomódz ci mogę?

Róża. Musisz mnie Henryku poprzeć wobec moich rodziców, którzy o moim zamiarze dotychczas nic nie wiedzą. Nie przeczuwają go nawet! Chodzi mi o uzyskanie ich zezwolenia i błogosławieństwa. Bo powołanie, któremu się oddać zamierzam w służbie Pana, nie jest powołaniem zwyczajnem. Boję się, że gdy o niem posłyszą...

Henryk. Zapewne za kratą karmelitańskiego klasztoru chcesz pogrzebać swoją młodość kwitnącą. *(Boleśnie)*. O, Boże!

Róża. Mylisz się, bo nie życiem poświęconem modlitwie i surowej pokucie ocalać pragnę dusze bliźnich — ja łaknę czynu, ja wszystkie duchowe moje i cielesne siły zużyć pragnę na polu walki, wydzierać strasznemu wrogowi dusze i ocalać je dla nieba. Takiego to posłannictwa żąda serce moje. To też siostrą misyjną w Afryce zostać chcę, Henryku.

Henryk. Siostrą misyjną! Nie wiesz, co mówisz!

Róża. Jak to?

Henryk *(bardzo poważnie)*. Bo nie znasz powołania, któremu chcesz się poświęcić. W młodocianym zapale widzisz przed sobą jedynie cel, który cię pociąga, przeoczasz zaś żmudną drogę wiodącą ku niemu, którą przejść musisz, chcąc cel ten osiągnąć! Nie bierzesz z pewnością w rachubę trudów i przeciwności, jakie cię na niej czekają, a więc: zabójczego klimatu, braku pokarmu i napoju i ciągłego obcowania z ludźmi dzikimi, których sam widok odstręczy twą wrodzoną wrażliwość, a wkońcu najcięższa ofiara dla duszy takiej, jak twoja, to wyrzeczenie się pociechy religijnej i pozbawienie nieraz przez czas dłuższy słuchania Mszy św. i przyjmowania św. Sakramentów. Na to wszystko w krajach pogańskich naraża się Siostra misyjna. Wierzaj mi, Różo, patrzałem ja nieraz zblizka, podczas pobytu mojego w Indyach, na życie Sióstr misyjnych i wiem czem jest to pełne ofiar posłannictwo. A dopieroż w Afryce, w tym kraju barbarzyńskiej ciemnoty, o ileż cięższym bywa los takiej misyjnej Siostry.

Róża. Z tego wszystkiego zdaję sobie najzupełniej sprawę. Lecz czyż nie powiedział nam Książe Apostołów: „Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia?“ A czyśmy oboje nieraz nie czytywali sprawozdań misyjnych o błogosławionej działalności misyjnych Sióstr? Dlaczegóż nie mogłabym dokonać tego, co one zdziałać potrafią z miłości ku Niebieskiemu Oblubieńcowi? Czy zapominasz Henryku, jak sam niegdyś zapalałeś się do życia misyjnego w Afryce? Przypominałeś mi przed chwilą pewien epizod z naszych lat młodzieńczych, pozwól, niechaj i ja przypomnę ci inny, sięgający wstecz jeszcze o lat kilka! Jak niegdyś Teresa i brat jej Rodriguez, tak i my oboje zamierzaliśmy udać się do Afryki, by nawracać pogan. Ty miałeś chrzcić, ja zaś opiekować się ochrzczonymi, a Ludwika, dobra nasza Ludwika, bo jej brakować nie mogło, skoro chodziło o Afrykę — miała się zajmować garderobą nowoochrzczonych!

Henryk. Ależ Różo! Wszystkie tego rodzaju plany i pomysły, to były przecież tylko zamki na lodzie! Motyle skrzydlate, które z pustoty usiłowaliśmy łapać — żółtego dzisiaj, białego nazajutrz!

Róża. Nie, nie, ja, widzisz Henryku, tym pierwszym zamiarom naszym do dziś dnia pozostałam wierną. Czytanie pism misyjnych i łaska Boża, nie dozwoliły zagasnąć w sercu mem zarzewiom pierwszych porywów młodości. Usiłujesz odwieść mnie obecnie od tego, do czego sam niegdyś, częściowo przynajmniej, pobudziłeś mnie własnym swoim zapałem.

Henryk. Zapewniam cię, że u mnie zapał ten wcale nie był głęboki. Pociągał mnie urok awanturniczego życia — nic więcej. Niechaj mnie jednak od tego Bóg uchroni, bym cię miał odwodzić od twojego powołania. Ja chciałbym jedynie przestrzedz, prosić, a nawet błagać cię, byś rozważyła dojrzale, zanim — *(odwraca się, ocierając ukradkiem łzę)* zanim swe młode życie oddasz powolnej śmierci w ofierze.

Róża. Umrzeć wszyscy musimy, Henryku, a nikt nie zaręczy nam za to, że śmierć lżejszą nam będzie w tym starym, zepsuciem owładniętym świecie, aniżeli na ziemiach Afryki. Ja już nie potrzebuję się namyślać. Złożyłam oddawna Bogu w ofierze życie moje za nawrócenie biednych murzynów. Chodzi mi jedynie o to, by uzyskać zezwolenie i błogosławieństwo rodziców. Czy poprzesz mnie wobec nich, Henryku? Tak, czy nie?

Henryk *(silnie wzruszony)*. Ty nie wiesz, Różo, jaką dzisiaj ranę zadałaś sercu mojemu. Zresztą, jakże pojąć zdołałabyś ogrom bólu mojego, skoro Bóg, nieprzystępnemi sercu twemu uczynił uczucia, które tak bardzo uszczęśliwiać, a zarazem tak bardzo unieszczęśliwiać nas umieją. Ty poznałaś to tylko uczucie, które żadnych za sobą nie sprowadza cierpień: miłość ku Bogu! Gdybyż cię naśladować można! Nie żądaj odemnie, Różo, czegoś, co przechodzi możność ludzką. Pozwól mi, niechaj wpierw opamiętam się! Widzisz, jestem jak ów człowiek, który widzi, iż gmach zbudowany wieloletnią zapobiegliwością i pracą — runął znienacka. Czy sam jeszcze sprzątać mam jego gruzy, by śladu już nawet po mej wspaniałej budowli nie pozostało?

Róża *(wzruszona)*. Biedny Henryku!

Henryk *(gorzko)*. Słusznie mówisz, żem biedny. *(Łagodniej)*. A przecież, nie biedny zupełnie, skoro mi zaufania swego i przywiązania siostrzanego nie odbierasz, Różo. Czy będziesz się za mnie modliła? Czy chcesz mnie wesprzeć, bym nie zboczył z drogi dobrej, bym nie utonął w bólu złamanego życia?

Róża *(gorąco).* Uczynię to najchętniej, obiecuję ci to Henryku! Ból, który zadałam ci mimowoli, daje ci wieczyste prawo do mojej modlitwy, ofiar i miłości siostrzanej. Nie myśl, że oblubienica Chrystusa obumiera dla wszelkich uczuć ludzkich. Miłość ku Bogu rozszerza serce zamiast je zacieśniać i czyni zdolnem do coraz doskonalszych uczuć. Pozostaniesz na zawsze drogim mym, najlepszym bratem, Henryku, a skoro pierwszy nasz sen młodości....

Henryk *(przerywając).* Zaczekaj. Słyszę kroki twojej matki w sąsiednim pokoju. Przychodzi dowiedzieć się o wyniku naszej rozmowy. O, co to będzie, gdy się o nim dowie! Odchodzę, Różo, nie mógłbym znieść obecnie jej widoku. Niechaj wybaczy nieobecność moją przy wieczerzy. Ufam Bogu, iż będę się mógł zjawić wieczorem przy oświetlonej choince. Żegnaj, Różo! *(Wyciąga ku niej rękę, lecz żywym ruchem cofa ją z powrotem).*

Róża. Żegnaj, Henryku!

SCENA VI.

PANI RÓŻYCKA. — RÓŻA.

Pani Różycka. Dzieci moje.... *(Ogląda się po pokoju zdziwiona).* Gdzie jest Henryk? Zdawało mi się, że słyszałam jego głos.

Róża *(nieco zmieszana).* Kazał się wobec mamy wytłómaczyć, chciał zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. Na kolacyę nie przyjdzie, może później....

Pani Różycka. Ależ co się stało? Oczekiwałam zgoła czego innego po tem, co mi poprzednio mówił.

Róża. Wiedziała zatem mama, iż oświadczy się o moją rękę. Uczynił to w istocie, lecz ja — nie przyjęłam go.

Pani Różycka. Czy podobna? Jakże mogłaś postąpić tak bez serca względem takiego zacnego, bogobojnego chłopca? W całej stolicy nie znajdziesz drugiego Henryka! Prócz tego, czem również gardzić nie można — jest on doskonałą partyą! Czyś ty dziecko na głowę upadła?

Róża *(uśmiechając się).* Mam nadzieję, iż tak źle jeszcze nie jest. Lecz — rękę moją i serce dawno już oddałam komu innemu.

Pani Różycka *(oburzona).* Jak to? Bez mojej i ojca wiedzy?

Róża. Nie matko. Posłuchaj i chciej mnie zrozumieć, ja wogóle za mąż wyjść nie chcę.

Pani Różycka. Wyjść za mąż nie chcesz? Chcesz może być mądrzejszą od twej własnej matki? Czyż małżeństwo nie jest naturalnem powołaniem każdej kobiety, a macierzyństwo najszczytniejszą jej godnością?

Róża. Istnieje powołanie stojące wyżej od naturalnego powołania kobiety — powołanie, o którem powiedział Zbawiciel: „Kto zdoła pojąć, niechaj pojmuje.“ Nikt go sam sobie nałożyć nie zdoła i Bóg jedynie wszczepia je w serce człowieka. Istnieje macierzyństwo szczytniejsze od macierzyństwa przyrodzonego, a jest niem apostolskie posłannictwo Siostry misyjnej, która zyskując niebu setki dusz, staje się tem samem ich matką duchową.

Pani Różycka. To ty może chciałabyś zostać Siostrą misyjną? Czy postradałaś zmysły?

Róża. Odgadłaś matko zamiar mój. Tak jest, oddawna czuję w sobie powołanie ku temu. O matko, nie odmawiaj mi zezwolenia i błogosławieństwa swego! *(Pada przed matką na kolana).*

Pani Różycka *(odpycha Różę szorstko).* Przenigdy! Niewdzięczna! Czyż do tego miałoby służyć moje błogosławieństwo, by unicestwić wszystkie nasze nadzieje i rachuby? Najświętszą twoją powinnością jest wyjść za mąż! Winnaś to nam, twoim rodzicom i młodszemu rodzeństwu. Henryk ma świetną przyszłość przed sobą, a my, wiesz, w jak trudnych jesteśmy warunkach. Dom twój po naszej śmierci stałby się domem i przytułkiem młodszego twojego rodzeństwa.

Róża *(urażona).* Nie wiedziałam, że rodzice rozporządzili już tak dalece moją osobą.

Pani Różycka *(w zapale mówi dalej).* My oboje, ojciec i ja, tak bardzo pragnęliśmy twego szczęścia. Bo też każda inna dziewczyna na twojem miejscu, sądziłaby się szczęśliwą, gdyby takiemu człowiekowi, jakim jest Henryk, mogła rękę swą oddać. To też cała rodzina oczekuje w napięciu tych zaręczyn. Ja, widzisz, napomknęłam nawet gdzieniegdzie, że dzisiaj wieczór.....

Róża. Ja żadną miarą nie dałam upoważnienia do tego rodzaju aluzyi. Wręcz przeciwnie! Jakże często mówiłam o dziele misyjnem, by okazać, jak bardzo je ukochałam i by wasze dlań wzbudzić zajęcie. Zastanowiwszy się nieco....

Pani Różycka *(niecierpliwie).* Co tam misye! To dobre dla kucharek i pokojówek takich, jak nasza stara Ludwika, które nie potrzebują się troszczyć o nikogo, jak tylko o siebie! W dzisiejszych czasach dzieło misyjne matki rodziny, to jej własne ognisko domowe. Ach, ta Ludwika! To ona wszystkiemu winna z temi swojemi nieszczęsnemi pismami, któremi dziecinny wasz pokój założyła! Jakże mogłam nie przewidzieć, że one to kiedyś staną się przyczyną naszego nieszczęścia. Ale, cóż ja mówię! O nieszczęściu mowy jeszcze być nie może. Jestem pewna, że

wszystko ułoży się i zakończy jak najlepiej. Ty będziesz rozsądną, Różo, a jeżeli mnie słuchać nie chcesz, posłuchasz może ojca.

Róża *(do siebie)*. I to będzie daremne. O Boże mój, dopomóż mi stoczyć bój, jaki mnie czeka!

SCENA VII.

PAN RÓŻYCKI. — PANI RÓŻYCKA. — RÓŻA.

Pan Różycki. Przysłuchałem się wszystkiemu z drugiego pokoju. Żono, nie unoś się tak bardzo. Sami winni jesteśmy rozczarowaniu, jakie przeżywamy.

Pani Różycka *(oburzona)*. Jak to? I ty przyznajesz jeszcze tej dziewczynie racyę?

Pan Różycki. Powiadam tylko, że sami naszemu rozczarowaniu jesteśmy winni. My rodzice nie mamy prawa kojarzyć z góry małżeństw naszych dzieci i nie wolno nam obstawać przy naszych planach bez ich dobrowolnej zgody.

Róża *(pada ojcu do nóg)*. Dzięki, o dzięki ci z całej duszy, dobry mój ojcze!

Pan Różycki *(podnosząc ją)*. Wstań dziecko, zaczekaj końca a przekonasz się, czy w zupełności na twoją podziękę zasłużę. *(Zwraca się do pani Różyckiej)*.

Jeżeli Róża nie chce wyjść za Henryka, jeżeli wogóle do małżeństwa powołania nie czuje, to jej rzecz. Byłoby na ogół daleko mniej nieszczęśliwych małżeństw i daleko mniej rozwodów, gdyby rodzice dzieciom swym pod tym względem zupełną pozostawiali wolność.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zamknięcie redakcyi 1 lutego 1910.

Wydawca: Sodalicya św. Piotra Klawera.
Redaktor odpowiedzialny: *Zofia Popielówna*.

W Krakowie. — Czcionkami drukarni „Czasu.“